



Z TEATRU

Andrzej Hausbrandt

# Fra diavolo

„Diabelstwa” — Alessandro Fersen, przekład — Halina Dobrowolska, reżyseria — Alessandro Fersen, scenografia — Irena Burke, konsultacja wokalna — Romana Krebsówna. Teatr Dramatyczny, Warszawa.

**P**EWIEN obdarzony inicjatywą, a niespokojny duchem warszawianin, o brzmącym z niemiecka nazwisku, wyemigrował w końcu XIX-wieku z rodzinnego miasta, by w dalekiej Italii szukać lepszego losu. Zatrzymał się w Genui i tam poświęcił karierze bankowej. Kiedy już jako tako obrósł w piórka i postanowił ustatkować się — co wówczas było równoznaczne z żeniactwem, wybrał się do Krakowa, by w centrum narodowej tradycji szukać kandydatki do ołtarza. Ciągnęło go do tej porzuconej ojczyzny tak silnie, że okazał się nieczuły na powaby ognistych Włosek i niczym Mickiewiczowski budrys zapragnął „Laszki”. A w dodatku spod samego Wawelu. Młoda para — bowiem nasz bohater, co zamysłili to i zdziałał — wrócił do Genui w towarzystwie polskiej gosposi, która miała być dodatkowym łącznikiem między „dawnymi a nowymi laty”, czyli Polską a Włochami. Kiedy zaś okazało się, że rodzina ma się powiększyć, młode małżeństwo znów opuściło Genuę, ponieważ pierworodny mógł się urodzić jedynie na ziemi przodków. I rzeczywiście, Alessandro zobaczył

świat, może nie w najpiękniejszym z miast, lecz niezaprzeczenie polskim — w Łodzi. Po kilku latach jego mama odbyła ponownie podróz na trasie Genua — Łódź uwieńczoną urodzinami następnego syna.

Mijały lata, obciopy wzrastał na pograniczu dwu kultur: polskiej i włoskiej. W domu używano obu języków, pielęgnowano tradycje urodowe i patriotyczne, korespondowano z Sienkiewiczem, utrzymywano stosunki z Polonią, świętowano „wybuch Polski” w 1918, ale rozliczne więzy trzymały całą rodzinę mocno w Italii. Chłopcy studiowali, kończyli uniwersytet, starszy Alessandro, nawet z przysgodami. Jego doktorat z filozofii „Świat jako zabawka” nie spodobał się akademickim ideologom faszyzmu, zwłaszcza, że promotor młodzieńca, zanim doszło do obrony pracy, zdążył powędrować, z tytułu swych lewicowych przekonań, za kraty. Świeżo upieczony (mimo wszystko) doktor pojechał w 1935 roku do Paryża, gdzie rozpoczął swą emigracyjną edukację od przyciemniania głodem, chwywania się wszelkich zajęć, konspirowania przeciwko Mussoliniemu i pisania wierszy. Potem przyszła wojna, ruch oporu i partyzantka. Dopiero po wyzwoleniu obudziło się praktyczne, poważne zainteresowanie teatrem. Zaczęło się od pisania, skończyło na reżyserowaniu, pracy pedagogicznej, naukowej i nieskończonych inicjatywach organizacyjnych.

Tym niespokojnym duchem, synem emigrantów z warszawsko-krakowskiego stadła jest nie kto inny jak Alessandro Fersen — autor i reżyser wystawionej ostatnio na scenie Teatru Dramatycznego sztuki „Diabelstwa”. A ze swego bujnego życiorysu, którego zaledwie część zdołałem tu przytoczyć, zwierzył mi się osobiście piękną polszczyzną, dźwięczną akcentowanym po krakowsku „i”. „To wszystko zasługa niani” — wyjaśnił dr Fersen na pytanie, skąd tak znakomicie włada językiem rodziców. Owej niani sprowadzonej wraz z panną młodą spod Wawelu.

„Diabelstwa” są w gruncie rzeczy dość niewinna rozprawa z czartem, której najistotniejszym niedostatkiem jest niedostatek humoru, największym i najbardziej zaskakującym wdziękiem, przebijająca ze spektaklu wiara autora w diabła. Ostatecznie, w naszych czasach, można znaleźć nie tak wielu ludzi, którzy traktują serio „księcia ciemności”.

Przedstawienie, skomponowane z luźnych, powiązanych jedynie tytułowymi antybohaterem, obrazów, stanowi żywy dowód niewyczerpanej pomysłowości reżyserskiej polsko-włoskiego Fersena. Używając niezwykle oszczędnych środków, ograniczając dekoracje — w tradycyjnym rozumieniu — inscenizator uzyskuje wiele pięknych, zaskakujących świeżością efektów kładąc cały nacisk na aktora. Na długo pozostaną w pamięci wiostujący żeglarze z „Diabła wśród rybaków”, poetycki las i żerdzi w „Gospodzie Zielonego Smoka”, piękna galopada traperskim wozem w „Skarbie Kyda-Pirata”, malownicza scena ze świecami w „Księdze Hioba” i jeszcze kilka innych. W ogóle, miałem trochę żalu, że inscenizator z takim polotem nie wziął na warsztat innej, ciekawszej, głębszej, ambitniejszej artystycznie pozycji. Zadowolili się Fersenem-autorem, który, niestety, pozostaje w tyle za Fersenem-reżyserem. A przecież można było sięgnąć do Goldoniego, Pirandella, lub Gozziego.

W licznej obsadzie aktorskiej na szczególną uwagę zasługują: bezkonkurencyjny arcydiabeł Józef Nowak w rozlicznych wcieliach, lekki, pełen wdzięku, traktujący z należyty dystansem swą rolę i całą zresztą sztukę; Franciszek Pieczka, jako hiszpańska wersja zbója-Madeja, Barbara Horawianka, alias M-me Rachele i Mirosława Krajewska — diabeł kusząca Cloe oraz Tadeusz Bartosik (Master Adams) — wszyscy na dzikim, amerykańskim zachodzie, Zygmunt Kęstowicz — Pustelnik, wbrew przyrodzonym warunkom odpędzający grzeszne pokusy i inni, także dobrzy i bardzo sprawnie zgrani w tym — w gruncie rzeczy zespołowym — dziele.

Mimo wielokrotnych gromów rzuconych ze sceny na szatana, przecież patrząc na dr. Fersena zaczyna się wątpić, czy przypadkiem on sam duszy diabłu za wieczną młodość nie sprzedał. Sledemdziesiątka z okładem na karku, a taki wigor, energia, żywotność. Prawdziwy brat diabła!

P. S. Halinie Dobrowolskiej, tłumaczce sztuki, należą się osobne słowa uznania, może nie tyle za sprowadzenie do Polski „Diabelstw”, ile za znakomity narodowy w formie, czyli polsko-diabelski epizod (Rozmowa Nędzy z Diabłem), który w oparciu o teksty rybałtowskiej komedii opracowała i do swego przekładu włączyła. A może w ogóle spróbowałaby Pani własnych sił, nie szukając pretekstów?